

– Niechże pan więc słucha. Już pierwsi odkrywcy Urtamy nie mogli nachwalić się jej mieszkańców, potężnych Memnogów. Panuje przeświadczenie, że te rozumne istoty należą do najbardziej uczynnych, łagodnych, dobrotliwych i przenikniętych altruizmem stworzeń w całym Kosmosie. Licząc więc na to, że na takim gruncie doskonale przyjmie się ziarno wiary, wysłaliśmy do Memnogów ojca Orybazego, mianując go biskupem *in partibus infidelium*. Przybyłego na Urtamę przyjęli Memnogowie tak, że trudno sobie życzyć czegoś lepszego; otaczali go macierzyńską opieką, szanowali, wsłuchiwali się w każde jego słowo, odczytywali mu z oczu

i spełniali natychmiast każde życzenie, wprost pili wygłaszane przezeń nauki, jednym słowem, oddali mu się całkowicie. W listach, które mi pisywał, nie mógł się ich nachwalić, nieszczęśliwy...

Tu ojciec dominikanin strzepnął rękawem habitu łzę z powieki.

– W tak sprzyjającej atmosferze ojciec Orybazy nie ustawał dniem ani nocą głosić zasad wiary. Wyłożywszy Memnogom historię Starego i Nowego Testamentu, Apokalipsę i Listy Apostolskie, przeszedł do żywotów świętych; szczególnie wiele żaru włożył w opiewanie męczenników Pańskich. Biedak... to zawsze była jego słabość...

Przemagając wzruszenie, ojciec Lacymon ciągnął drżącym głosem:

– Prawił im przeto o świętym Janie, który zdobył światłość wiekuistą, kiedy go żywcem ugotowano w oleju, o świętej Agnieszce, co dała sobie głowę dla wiary odciąć, o świętym Sebastianie, przeszytym mnogimi strzałami, który cierpiał srogie katusze, za co w raju przywitały go pienia anielskie, o młodziankach świętych ćwiartowanych, duszonych, łamanych kołem i palonych małym ogniem. Męki te przyjmowali z zachwytem, pojmując, że zyskują tak miejsce po prawicy Pana Zastępów. Kiedy opowiedział im wiele podobnych, godnych naśladowania żywotów, zasłuchani w jego słowa Memnogowie jęli spoglądać na siebie, a największy z nich zagadnął nieśmiało:

– Wielebny kapłanie nasz, kaznodziejo i ojciec czcigodny, powiedz nam, proszę, jeśli tylko zechcesz zniżyć się do niegodnych twych sług, czy dusza każdego, kto gotów jest na męczeństwo, dostaje się do nieba?

– Niewątpliwie tak, synu mój! – odrzekł ojciec Orybazy.

– Taak? To bardzo dobrze... – powiedział przeciągle Memnóg. – A czy ty, ojcie duchowny, pragniesz dostać się do nieba?

– Jest to moim najgorętszym życzeniem, synu.

– A świętym chciałbyś zostać? – pytał dalej wielki Memnóg.

– Synu zacny, któż by nie chciał nim zostać, ale gdzie mnie tam, grzesznemu, do tak wysokiej godności; trzeba wyęźać wszystkie siły i dążyć nieustannie w największej pokorze serca, aby wstąpić na tę drogę...

– Więc chciałbyś zostać świętym? – upewnił się Memnóg raz jeszcze, spozierając zachęcająco na towarzyszy, którzy nieznacznie unieśli się z miejsc.

– Oczywiście, synu.

– No, to my ci pomożemy!

– W jaki sposób, miłe owieczki? – spytał z uśmiechem ojciec Orybazy, albowiem radowała go naiwna gorliwość wiernej trzódki.

Na to Memnogowie delikatnie, lecz mocno wzięli go pod pachy i rzekli:

– W taki sposób, drogi ojcze, jakiego nas właśnie nauczyłeś!

Za czym najpierw zdarli mu z grzbietu skórę i namaścili to miejsce smołą, jak to zrobił kat Irlandii świętemu Hiacyntowi, potem odrąbali mu lewą nogę, jak to poganie uczynili świętemu Pafnucemu, następnie rozpruli mu brzuch i wsadzili weń wiecheć słomy, jak się to przydarzyło błogosławionej Elżbiecie normandzkiej, za czym wbili go na pal jak Emalkici świętego Hugona, połamali mu żebra, jak Tyrakuzanie świętemu Henrykowi z Padwy, i spalili go powolutku na małym ogniu jak Burgundzi Dziewicę Orleańską. Potem zaś odsapnęli, umyli się i jęli łzy ronić rzewne za swym utraconym pasterzem. Na czym właśnie zastałem ich, albowiem objeżdżając wszystkie gwiazdy diecezji, wstąpiłem do ich parafii. Kiedy usłyszałem, co się stało, włosy wstały mi na głowie. Załamawszy ręce, krzyknąłem: – Niegodni zbrodniarze! Mało dla was piekła! Czy wiecie, żeście wydali dusze na wieczne potępienie?!!

– A jakże – odparli, szlochając – wiemy!

Ów największy Memnóg wstał i tak mi powiedział:

– Czcigodny ojcie, wiemy dobrze, że będziemy potępieni i męczeni do końca świata i musieliśmy toczyć straszne walki duchowe, zanim powzięliśmy ten zamiar, jednakowoż ojciec Orybazy nieustannie powtarzał nam, że nie ma takiej rzeczy, której dobry chrześcijanin nie uczyniłby dla swego bliźniego, że należy oddać mu wszystko i na wszystko być dlań gotowym; tak więc zrezygnowaliśmy z największą rozpaczą ze zbawienia, myśląc tylko o tym, by najdroższy ojciec Orybazy zyskał koronę męczeńską i świętość. Nie umiem ci powiedzieć, jak trudno nam to przyszło, bo zanim przybył do nas ojciec Orybazy, żaden z nas muchy nawet nie ukrzywdził. Ponawialiśmy więc błagania, prosiliśmy go na kolanach, by nieco popuścił i zmniejszył surowość nakazów wiary, ale on kategorycznie twierdził, że dla umiłowanego bliźniego należy czynić wszystko, bez żadnego wyjątku. Tak tedy nie byliśmy mu w stanie odmówić. Rozumieliśmy przy tym, że jesteśmy istotami mało znaczącymi i niegodnymi wobec tego męża świątobliwego i że zasługuje on na największe wyrzeczenie z naszej strony. Wierzmy też gorąco, że przedsięwzięcie dobrze się powiodło i że ojciec Orybazy króluje teraz w niebie. Tutaj masz, ojcie czcigodny, worek z sumą, jaką zebraliśmy na proces kanonizacyjny, bo tak trzeba, to nam ojciec Orybazy, pytany, dokładnie wyjaśnił. Muszę powiedzieć, że stosowaliśmy tylko jego ulubione tortury, o których prawił nam z największym zapamiętaniem. Sądziliśmy, że będą mu miłe, jednakowoż opierał się, a zwłaszcza niechęć budziło w nim łykanie wrzącego ołowiu. Nie dopuściliśmy jednak myśli, że ten kapłan co innego nam mówił, a co innego myślał. Krzyk zaś, jaki podnosił, był tylko dowodem nieukontentowania niskich, cielesnych części jego

jestestwa i lekceważyliśmy go w myśl nauki, że należy poniżać ciało, aby tym wyżej wznieść ducha. Pragnąc go podtrzymać, przypominaliśmy mu zasady, które nam głosił, na co ojciec Orybazy odpowiedział jednym tylko słowem, całkiem niepojętym i niezrozumiałym; nie wiemy, co by znaczyło, bo nie znaleźliśmy go ani w książeczkach do nabożeństwa, które nam wręczył, ani w Piśmie Świętym.

Zakończywszy opowieść, ojciec Lacymon otarł kroplisty pot z czoła i przez czas dłuższy siedzieliśmy w milczeniu, które sędziwy dominikanin przerwał w końcu słowami:

– No i niechże pan sam powie, jak tu być duszpasterzem w takich warunkach?! Albo znowu ta historia! – ojciec Lacymon uderzył ręką w list rozpostarty na stole. – Ojciec Hipolit donosi mi z Arpetuzy, tej małej planety Wagi, że mieszkańcy jej zupełnie przestali zawierać małżeństwa, nie płodzą więcej dzieci i zagraża im całkowite wygaśnięcie!

– Dlaczegoż to? – spytałem zdumiony.

– Dlatego, bo kiedy usłyszeli, że obcowanie cielesne jest grzechem, tak bardzo zapragnęli zbawienia, że wszyscy ślubowali i zachowują czystość! Od dwu tysięcy lat Kościół głosi wyższość troski o zbawienie duszy nad sprawami doczesnymi, lecz nikt nie brał tego dosłownie, na miły Bóg! Ci Arpetuzańscy poczuli co do jednego powołanie i wstępują masowo do klasztorów; wzorowo przestrzegają reguły, modlą się, poszczą i umartwiają, a tymczasem upada przemysł, rolnictwo, nadciąga głód i zagłada grozi planecie. Napisałem o tym do Rzymu, ale jak zwykle odpowiedzią jest milczenie...

– Bo też to bardzo było ryzykowne – zauważyłem – nieść wiarę na inne planety...